Rok V. Katowice, dnia 25 grudnia 1932 r. Nr. 20.

NA TROPIE

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ



..BÓG SIĘ RODZI...

Winietę wykonał Wł. Domiszewski.

Wszystkim współpracownikom, czytelnikom i przyjaciołom „NA TROPIE“ Redakcja składa serdeczne życzenia

WESOŁYCH ŚWIĄT!

Ze świata skautowego.



Zuchy z Madrasu myją się codziennie od czubka nosa aż do pięt.

LITWA, państewko o dwu miljonach ludności, posiada jednak skauting dobrze rozwinięty, bo 10 tysięcy skautów na taką ilość ludności to zupełnie dużo. Honorowym prezydentem organizacji jest prezydent państwa. Organizacja nosi nazwę: „Lietuvos Skautu Siunga“ i wydaje pod tym też tytułem pisemko.

MATKA MORTIMERA SHIFFA, zmarłego w zeszłym roku naczelnego skauta Ameryki, ofiarowała organizacji 250 tysięcy dolarów, za które to pieniądze zakupiono duży szmat ziemi, na którym stanie szkoła kształcenia instruktorów.

AMERYKAŃSKA ORGANIZACJA posiada ponad 200 stałych terenów pod obozowanie. Najmniejszy ma około 20 akrów, największy, leżący w pobliżu Nowego Jorku, jest długiem na 16 km. wybrzeżem. Dobrze takim, co dostają dotacje po ćwierć miljona dolarów.

BOYS LIFE największe skautowe pismo amerykańskie, posiadające ok. 200 tysięcy prenumeratorów, jest, podobnie jak „Na Tropie“, redagowane z skautowego punktu widzenia, ale dla całej młodzieży. Obie redakcje wychodzą z tego założenia, że musi istnieć pismo, któreby zjednywało wszelką młodzież dla skautingu. Tylko że „Na Tropie“ nie ma jeszcze 200 tysięcy prenumeratorów. Zarówno nasza jak wasza rzecz w tem, by miało.

SKAUCI JAPOŃSCY mają 150 tonowy jacht szkolny, na którym w ciągu ostatniego lata spędził parę dni cesarz Japonji.

AUSTRJACKA organizacja skautowa Św. Jerzego odbyła tego roku pierwszy gilwelski obóz kształcenia instruktorów w Gloggnitz w wspaniałym parku, użyczonym uczestnikom przez miejscowych potentatów: rodzinę Volpini. Wiek uczestników wahał się między 19 a 49 latami i wszelkie stany były reprezentowane: profesorzy, nauczyciele, inżynierzy, rzemieślnicy, kupcy, gospodarze i księża.

TEODOR ROOSEVELT, zmarły 13 lat temu prezydent Stanów Zjednoczonych, był wielkim przyjacielem i protektorem młodzieży, a zwłaszcza skautowej. Czterech jego synów, z którymi przepędzał każdą wolną chwilę, wychowując ich na dzielnych obywateli swego kraju, było skautami. Organizacja amerykańska dla uczczenia wielkiego protektora, urządza corocznie pielgrzymkę do jego grobu. — Tego roku w pielgrzymce tej, prowadzonej przez komisarza narodowego Dana Bearda, wzięło udział 4000 skautów.

W PORTUGALJI dziewięć lat temu założył Arcybiskup miasta Bragi Narodowy Korpus Skautów, który zrazu natrafiał na duże utrudnienia i dopiero w 1925 r. został uznany przez władze. Odtąd rozwija się coraz pomyślniej, rozszerzając swój wpływ także na kolonje portugalskie. Obecnie sięga 4000 członków. Co dwa lata, za każdym razem w innem miejscu odbywa organizacja zlot w formie narodowego obozu. Ostatni, odbyty w bieżącym roku od 8 do 18 sierpnia, miał 500 uczestników z wszelkich zakątków Portugalji. Codzienne ogniska urozmaicane regionalnemi popisami, zbierały tłumy ludności z pobliskiej Bragi. Ogółem zwiedziło obóz 8000 osób.

ANGIELSKA drużyna z Warlingham, Surrey umie się brać do rzeczy. Przedewszystkiem postarała się, aby jej drużynowy był inżynierem i odtąd zaczęły się dziać wspaniałe rzeczy. Najpierw wybudowano według planu i pod kierownictwem drużynowego wspaniały dom, na miejscu podarowanem drużynie przez gminę. Ale ponieważ miejsca jeszcze zostało dość, zabrała się drużyna do zbudowania własnego basenu pływackiego. Prawda, że kosztowało to trzy lata pracy, ale też basen jest niebywały, a co ważniejsze pieniądze na bądź co bądź duże, bo dochodzące 19 000 zł wydatki, zdobyła drużyna własną pracą. To jest sukces!

SALZBURSCY SKAUCI za przykładem Austrji zorganizowali zawody w sprawnościach skautowych. Wchodziły w grę: pierwsza pomoc, gotowanie, sygnalizacja, tropienie i podchodzenie zwierząt, majsterklepkowstwo, wspinanie się po skałach, terenoznawstwo, łucznictwo, bieg z przeszkodami, urządzanie pokazów i śpiew. Pierwszą nagrodę zdobyła drużyna z Oberndorfu.

ZŁOTĄ ODZNAKĘ państwową otrzymał amerykański skaut Nye za owocną pracę na terenie ochrony przyrody.

Kilka cyfr z działalności skautów Czechosłowacji.

(Korespondencja własna).

Praga, w grudniu.

Mimo srożącego się kryzysu ubiegłego lata, obozowało przeszło 10 tysięcy skautów i skautek (⅓ ogólnej liczby!) w 455 obozach.

Celem zapewnienia drużynom odpowiednich miejsc na obozy, Naczelnictwo Svazu kupuje coroku po kilka działek ziemi w nadających się na obozowanie okolicach. Już 30 takich działek posiadają skauci czescy.

Kursy dla drużynowych chłopców i dziewcząt t. zw. „Leśne Szkoły“ mają już swoją tradycję i dają coraz to lepsze rezultaty. „Leśne Szkoły“ odbywają się w różnych częściach Republiki. Ubiegłego lata odbyły się dwa kursy dla drużynowych wilcząt, jeden dla drużynowych i 5 dla drużynowych chłopców. Jedna z działek ziemnych w Niżborze przeznaczona została na stałe na kursy dla starszyzny.

Czytelnictwo jest wśród skautów czeskich bardzo rozpowszechnione. Najpopularniejszem pismem jest oficjalny organ Svazu „Skaut Junak“, którego nakład wynosi 5 tys. egz. Jest to jedno z najstarszych pism skautowych w Europie Centralnej. Pismem starszyzny jest „Vudce“. Na Słowaczyźnie wychodzi „Budpripraveny“. Pozatem istnieje jeszcze kilka pism pomniejszych jak „Skaut“ dla skautów katolickich, „Tobortür“ dla skautów węgierskich itd.

Wśród mniejszości narodowych skauting cieszy się dużem powodzeniem, to też Svaz wydał instrukcję dla osób, które pragną zakładać drużyny skautowe, oparte na ideologji baden-powellowej. To posunięcie okazało się bardzo celowem, gdyż jak to widzimy w statystyce z lipca, drużyny mniejszości są już liczne: I tak skautów węgierskich jest w Czechosłowacji 1.301, Polaków — 1.020, Haszomrów (Żydzi) 901, „Trumpeldor“ (Żydzi) — 549, Rusinów — 179, Ukraińców — 170 i Niemców 163.

Skauci - katolicy są zorganizowani osobno w Związek Skautów Katolickich, liczący w Czechach 451 członków, a na Słowaczyźnie 761. Zarówno drużyny mniejszościowe, jak i Związek Skautów Katolickich wchodzą w skład Svazu Junaku Skautu na podstawie specjalnych regulaminów.

Krbcova.

Dr. Michał Grażyński, Przewodniczący Z. H. P.

TRZEBA TWORZYĆ JEDNOŚĆ DUSZ.

(Fragmenty z przemówienia w Pradze na Zlocie w 1931 r.

Harcerki i Harcerze!

Siedząc dziś przy ognisku, płonącem niemal u stóp hradczyńskiego zamku, — przeżywamy jakby drugi swój żywot. Kiedyś, przed zgórą 900 laty, na tem samem może miejscu, wielkie płonęły ogniska, a wkoło nich brzmiał polski rozgwar bolesławowych rycerzy. Przybyli tu z dalekich ziem Wielkiej i Małej Polski, oraz z bliżej leżącego Śląska, a przybyli zbrojnie, zwycięsko wiedzeni przez Bolesława Chrobrego, wezwanego tu przez lud czeski przeciw okrutnemu Bolesławowi Rudemu. O krok stąd, na książęcym dworze praskim zasiadł nasz znakomity Król, który pierwszy zrozumiał idące od zachodu niebezpieczeństwo niemieckie i chciał jego naporowi przeciwstawić zjednoczoną pod swą władzę Słowiańszczyznę zachodnią. Wielka myśl i czyn działają swym nieśmiertelnym urokiem poprzez całe wieki. Dzieła ojców są naszem, jakby z własnego życia wyjętem wspomnieniem, boć przecież tradycja ojczystego kraju jest łańcuchem działających pokoleń, których my tworzymy ostatnie w czasie teraźniejszym ogniwo. I dlatego może — mam takie wrażenie, jakby w ten pogodny wieczór wśród rozbitych na łąkach namiotów i przy ognisku zjawiły się duchy bolkowych rycerzy, by tu razem z nami przeżyć wspomnienie swych dawnych zamierzeń, co się z mądrej myśli Króla zrodziły...

Przyszliśmy tu nad Wełtawę, do odwiecznej Pragi radośnie. Obok obozu czeskiego rozbiliśmy swe liczne namioty, a w tej chwili zespoleni braterskiem uczuciem, śpiewamy razem z młodemi skautkami i skautami czeskiemi pieśni narodowe i wesołe piosenki harcerskie. Łuna naszych ognisk zawiesiła się nad miastem, a radosny rozgwar niesie się nad królewską, słowiańską rzeką. Zjechaliśmy tu, by brać w niewolę nie lud i kraj, a serca i dusze, których czujemy się tak bliscy. Od zachodu idą te same chmury, co niegdyś piorunami szczerbiły granice słowiańskich osiedli. Odpowiedź może być tylko jedna. Zjednoczyć się w zwycięskiej obronie. Podjąć i urzeczywistnić myśl Bolesława Chrobrego, Przemysława, Jerzego z Podiebradu. **Trzeba tworzyć jedność dusz.** Pomosty budować ponad tem, co nas z bliskiej przeszłości dzieli. Młode serca stroić w jeden rytm. Zespalać się nietylko w pieśni, a we wspólnej pracy, mającej stać się wyrazem wiecznego przymierza i przyjaźni obu narodów oraz nieśmiertelnej potęgi naszych państw. Nasza młodzież harcerska jest gwarancją szczerości naszych uczuć i pragnień; niech za nią stanie mocna wola charakterów i mądrość tej narodowej myśli, co się przed wiekami narodziła...

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i zbliżającego się Nowego Roku, życzę Wam, byście radość swą mierzyli ilością pokonanych zwycięsko przeszkód.

Dr. M. Grażyński
Przewodniczący Z. H. P.

ZOFJA SZATKOWSKA
(Kossak-Szczucka).

S. O. S.

3)

— Napewno chce jałmużny... Taki obszarpany dziad... Dziwię się, że dyrektor z nim mówi wogóle... — pomyślała Kota, i nie panując już nad sobą ziewnęła rozgłośnie.

„Dziad" jednak nie chciał jałmużny a przynajmniej nie w tem znaczeniu, o jakiem myślała znudzona panienka. Trzymając dyrektora niby na uwięzi kręgiem przenikliwego wzroku, dowodził spokojnie choć z zapałem:

— ...Podobna okazja może się więcej nigdy nie powtórzyć. Plac jest dziś do nabycia poprostu za darmo. Wartość jego przed trzema laty zaledwie, była czterokrotnie większa. Obecny spadek jest spowodowany tylko kryzysem i nie może być innym niż chwilowym. Wymiarów placu nie potrzebuję powtarzać, gdyż pan dyrektor zna je dobrze. Z łatwością stanie na nim kompleks budynków nie mniejszych niż ten oto gmach. Oczywiście bez marmurów — uśmiechnął się — lecz nierównie bardziej dochodowy. Pomieszczę w nim sto dzieci. Sto dzieci wyrwanych nędzy, wykierowanych na pożytecznych, szczęśliwych ludzi... Stu dzielnych obywateli przysporzonych krajowi... O tyleż zmniejszony straszliwy grzech, zbrodnia społeczeństwa względem tych maleńkich niewinnych istotek, które Bóg stworzył na obraz i podobieństwo Swoje, a które ustrój społeczny zmusza do pozostania złoczyńcami...

Urwał na chwilę by zaczerpnąć oddechu.

— ...Niezależnie zaś od tego — podjął, — ileż stąd korzyści? Żadna z pańskich akcji nie da takiej dywidendy jak te...

Dyrektor roześmiał się ironicznie.

— Ten właśnie punkt, — zauważył, — wydaje mi się bardzo niepewnym. Może ksiądz raczyłby mnie bliżej objaśnić, skąd mają się wziąść te dochody i gdzie będą wypłacane dywidendy?

— W niebie — odparł ksiądz z prostotą i przekonaniem.

— Domyślałem się, — parsknął śmiechem dyrektor. Lecz ksiądz nie uśmiechał się wcale.

— Uważa pan, że to mało? Że jeszcze nie pora na ciułanie sobie kapitału po Tamtej Stronie, skoro po tej ma go pan już tyle?

— Nie wybieram się jeszcze na tamten świat... — żachnął się dyrektor niechętnie.

— Nikt z nas się nie wybiera, a przecie wybierze się każdy prędzej czy później.

— Szanowny Ksiądz teroryzujesz mnie myślą o śmierci, by wyłudzić pewną sumkę na cele filantropijne... ot jak się poprostu ta rzecz przedstawia, — roześmiał się dyrektor nieszczerze.

— Bynajmniej. Proponuję panu lojalnie włożenie znikomego odsetku swego majątku w dzieło, które zdejmie z pań-

skich dzieci tak, o ile wiem, ukochanych część odpowiedzialności za przewrotny ustrój społeczny, w jakim grzęźniemy, a równocześnie ułatwi panu znacznie moment zdawania rachunków życiowych... Trwały to będzie przekaz, nie zdewaluuje się... Możesz go przedstawić do płatności Najwyższemu Sędzi zarówno za dziesięć lat jak za trzydzieści...

Zaległo chwilą milczenie. Dyrektor patrzył zezem na czubek żarzącego się papierosa.

— Ileż brakuje jeszcze księdzu tych akcyj? — zapytał nagle.

— Sto po dwadzieścia złotych, — odrzekł ksiądz pogodnie

— Dwa tysiące złotych! Czy ksiądz sobie zdaje sprawę, co to za olbrzymia suma!

— Najzupełniej. Nie wydaje mi się ona jednak wielką w porównaniu z owocami, jakie przyniesie...

— W to ostatnie pozwolę sobie wątpić... ale... zajechał mnie ksiądz wzmianką o moich dzieciach...

— Bóg im to nagrodzi — odparł ksiądz miękkim głosem, — a zatem plac jest już nasz...

Dyrektor machnął ręką ruchem, który oznaczał, że potępia żywo własną słabość i niedaleki jest uwierzyć w czary. Dwa tysiące złotych zgadzał się wyrzucić ot tak poprostu za okna, on człowiek arcytrzeźwy, raczej nieużyty... Żadne molestacje starego dziwaka nie byłyby go przekonały, gdyby nie wzmianka o dzieciach. Ukochana jego córeczka Linka przebywała od dwu lat w zagranicznem sanatorjum zagrożona próchnicą kości i cały majątek ojca okazywał się bezsilnym, by chorobę odsunąć. Może rzeczywiście za tych sto uratowanych dzieci Bóg zgodzi się pozostawić mu jedno własne...

Ksiądz wychodził z twarzą tak promienną, że Kota spojrzała nań zdumiona. Otrzymał widać, o co prosił? Od dyrektora? Niemożliwe! Rezygnując z odgadnięcia tej zagadki spojrzała z ponownem ziewnięciem w przeciwną stronę. Ach, jakże się jej ten dzień dłużył!

Rozejrzawszy się bacznie, czy nikt na nią nie patrzy wyciągnęła z pod bibuły kilka wycinków z gazet i zagłębiła się w nich z całą uwagą. Były to ważne rzeczy. Przed dwoma tygodniami, w tajemnicy przed siostrą i bratem dała ogłoszenie do pisma matrymonialnego Wystylizowała je starannie i, jej zdaniem, najponętniej. Brzmiało: „Nieprzeciętnego umysłu i urody, — (wierzyła w to najmocniej), — zmęczona jałowością życia dziewczyna, pozna chętnie w celu poważnym, — (tak poważnym, niech sobie nie myślą Bóg wie czego,) — przystojnego, zamożnego, — (koniecznie,) — pana o wyrafinowanej kulturze, któremu byłaby siostrzaną duszą..."

Siostrzana dusza! Wyrafinowana kultura! Po sto razy Kota odczytywała ogłoszenie i za każdym razem upajała się własnym stylem takim... eleganckim, takim... wytwornym! Nic dziwnego, że odpowiedzi nadpłynęły szybko i licznie. Liczba ich oszołomiła ją poprostu. Którą odrzucić, które zatrzymać i ewentualnie naznaczyć spotkanie? Byłaby się chętnie poradziła kogo, lecz siostrze nie śmiała się zwierzyć.

„... Jestem urodziwy jak Novarro, czarujący jak Menjou, — pisał jeden, — tęsknię za znajomością z wyrafinowaną i wzniosłe kobietą. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Gdzie się spotkamy?"

„...Czytałem pani ogłoszenie, chaniebnie mi się podobało, bo ja właśnie jestem także taki sam: wyjątkowego umysłu a co do urody to pani zobaczy, gdy mi zechce naznaczyć spotkanie, najlepiej w piontek wieczorem..."

— Prostak, — mruknęła przeczytawszy ten list Kota — „chaniebny" prostak... Z oburzeniem zmięła „wyjontkową" ofertę i rzuciła do pieca.

„... Umysł to nic potem, uroda owszem, ale najważniejsze, to czy grosiwo jakie jest. Jak niema, to pisz panna do sądnego dnia, a jak jest to się możemy poznać. Ja spaceruję codzień przed wieczorem po ul. Królewskiej a poznać to mnie łatwo, bo się wszystkie dziewczęta za mną oglądają..."

Zarozumialec!

„... Czy umysł i uroda nieprzeciętna trudno uwierzyć na niewidziane. Proponuję spotkanie któregokolwiek dnia w kawiarni Europa na rynku. Znak: biały gwoździk w klapie ubrania."

Ta oferta zarówno jak pierwsza (Novarro) zainteresowały Kotę. Brzmiały kusząco, „dystyngowanie". Novarro był poetyczny niedowiarek, stanowczy i męski. Po długim namyśle odrzuciła wszystkie pozostałe oferty, nawet pewien wierszowany utwór, którego autor zapewniał że: „jawiła mu się we śnie, — słodka niby dojrzałe czereśnie..." Ten wiersz był wzruszający naprawdę, ale trudno, nie mogła przecież odpowiedzieć trzem odrazu.

Węzełki ciągnione przez nią samą wskazały na Novarra jako na pierwszego; dziś właśnie mieli się spotkać w cukierni, jako znak rozpoznawczy mając każde przypięty bukiecik fiołków.

Nie dziw więc, że czas dłużył się Kocie niemiłosiernie a robota nie szła bynajmniej. Ciekawość, leciutki niepokój, obawa co powiedzieliby siostra i brat, gdyby dowiedzieli się o tej imprezie, wybijały wypieki na jej różowe policzki. Po raz niewiedzieć który odczytywała odpowiedź „Novarra" również za pośrednictwem gazety przesłaną: „Fiołki, cukiernia zgoda. Będę punktualnie."

Jaka twarz kryła się za temi słowami? Kogo zobaczy? Czy będzie to początek romantycznej przygody, o jakiej lubi marzyć tyle dziewcząt, czy banalne i przykre „chaniebne" rozczarowanie?

Wszystko ma swój koniec, więc i urzędowanie skończyło się wreszcie. Urzędnicy wychodzili sznurem z banku. Woźny śpiesznie zamiatał posadzkę. Z przed wejścia ruszyła z cichym poszumem wspaniała lśniąca limuzyna dyrektora. Jego pracownicy szli ku śródmieściu pieszo. Gmach banku wzniesiony został przed paru laty w chwili największej gorączki budowlanej. Przyłączono wówczas do miasta nową dzielnicę, na której jak grzyby po deszczu wyrosły wspaniałe budowle, białe olbrzymie sześciany błyszczące taflami okien. Zanim jednak zdążyły wypełnić sobą całą przestrzeń, nadszedł kryzys gospodarczy. Wszelki ruch budowlany zamarł, to też w wielu miejscach piękne nowoczesne budowle sąsiadowały bezpośrednio z poletkiem obsianem lichym owsem lub starą, napół rozwaloną chatą, pozostałością istniejącej tu jeszcze przed dziesięciu laty wsi.

Olbrzymi Bank Stowarzyszonych Stowarzyszeń przytykał również jednym bokiem do pustego placu zarosłego chwastem i zarzuconego częściowo rumowiem. W głębi placu stał niewielki domek z pięterkiem w środkowej części dachu, skazany na rozbiórkę w razie zabudowywania placu. Przed nim rozciągało się morze badyla, glinianki wypełnione do połowy żółtą, nieruchomą wodą i gruz ze stojącego tu niegdyś, rozebranego przed laty domostwa. Wśród szczątków kominów czerniał sklepiony otwór do napół zawalonej piwnicy.

Zazwyczaj panowała tu doskonała pustka, gdyż nawet dzieci z okolicznych podwórek wolały kopać piłkę na równiejszych terenach, dziś jednak pośrodku placu, niby czarny drogowskaz, stał wysoki chudy ksiądz ten sam, którego akcje płatne w niebie nabył przed południem dyrektor Banku Stowarzyszeń. Stał samotnie, rozglądając się wokoło okiem gospodarza. Chwilami porywał się, śpiesznie przemierzał wielkiemi krokami plac wzdłuż i wszerz, nie bacząc na zdziwione spojrzenia przechodzących mimo urzędników bankowych, znów przystawał, spozierał zamyślonem okiem w górę, jak gdyby widząc już ukończone zręby domu, co miał przytulić sto wyrwanych nędzy sierot.



ROZDZIAŁ III.

Trzymając ostentacyjnie w ręku bukiecik fijołków, Kota już dłuższą chwilę siedziała w cukierni, nie spuszczając oczu z wejścia. Daremnie. Nie zjawiał się w nich nikt ukwiecony nikt podobny do Novarra. Ogarnął ją gniew, rozżalenie. Już miała zamiar odejść, srodze oburzona, gdy niespodzianie z głębi sali podszedł ku niej młody człowiek. Bukiecik fijołków ciemniał w jego butonierce. On!

(Ciąg dalszy nastąpi).

HELENA ZAKRZEWSKA.

WALKA O PRAWDĘ.

Było to czterdzieści lat temu! Nie będę oczywiście powtarzała wam tych rzeczy nieprawdopodobnych, że w owych czasach funt mięsa kosztował siedem groszy, kopa raków sześć, a najpiękniejszą pomarańczę malinówkę można było dostać za trzy grosze. Nie było za to ani samochodów, ani samolotów, ani radja, a ogromne części kraju nie miały żadnego połączenia kolejowego z większemi miastami. Nikt też nie psuł ówczesnych dzieci nadmiarem wymyślnych zabawek. Oprócz dnia imienin i Bożego Narodzenia, nikt nikogo niczem nie obdarzał. Nie było zwyczaju!

Wyobraźcie sobie dawne dwory, zimą odcięte od świata, zasypane śniegiem, zdala od kolei i od miasta, gdzie żyły i wychowywały się gromadki dzieci, które poza swoją rodzinną wioską niczego w życiu nie widziały. Książka była rzadkością, toteż czytało ją się po dziesięć razy. W długie wieczory zimowe, przy świetle bardzo nieudoskonalonej jeszcze lampy naftowej, gazeta i książka, czytane głośno przy wspólnym stole, jedyną były rozrywką.

Nic więc dziwnego, że kiedy nadchodziło Boże Narodzenie, wszystkich ogarniało niespokojne podniecenie. Zaczynało się to zwykle od zamknięcia dużego salonu, do którego znoszono pokryjomu tajemnicze skrzynki, które ukradkiem przynosił nasz wiejski listonosz. Im bardziej zbliżało się Boże Narodzenie, tem więcej starsi mieli przed nami sekretów. Na kilka dni przed Świętami kończyły się wspólne wieczory w jadalni. Zaraz po kolacji odesłano nas do dziecinnego pokoju i kazano nam iść spać, o godzinę wcześniej niż zwykle. Starsi zaś zamykali się w pokoju babci i coś tam pilnie majstrowali.

Nam było to bardzo na rękę, leżąc bowiem w łóżkach, w naszej obszernej sypialni, mogliśmy swobodnie puszczać wodze fantazji. O istnieniu wielu cudownych zabawek wiedzieliśmy z katalogów wielkiego, francuskiego magazynu „Louvre", które nam rokrocznie nadsyłano. Granice wówczas nie były zamknięte i można było wiele rzeczy sprowadzać z Paryża. Mamusia nasza twierdziła, że tam jest taniej, niż u nas.

Wspaniałość tych katalogów w porównaniu z naszą biedną rzeczywistością odurzała nas i budziła najzuchwalsze marzenia. Tego roku naprzykład stłukła nam się ostatnia lalka i od paru miesięcy byłyśmy zmuszone bawić się potworkami z gałganków. „Lalko" mojej najstarszej siostry, sporządzona z ozdobnych szczypców do węgli, owiniętych szmatkami, budziła powszechną zazdrość, bo wprawdzie nie miała rąk, ale zato miała dwie prawdziwe, żelazne nogi. Można sobie łatwo wyobrazić, że w tych warunkach wszystko było cudownością.

To też przy pacierzu wieczornym, przed ostatecznem „Amen". każde z dzieci pocichutku i prędziutko wyliczało w myśli te zabawki, o których najgoręcej marzyło, ufając, że dobry „aniołek" zapamięta dokładnie wszystkie nasze pragnienia. W „aniołka" wierzyliśmy wszyscy. Wierzyliśmy, że w noc, poprzedzającą wigilię, przynosi do zamkniętego salonu cudną choinkę, jarzącą się od świateł i że układa pod nią podarunki, przeznaczone dla całego domu. Ten cud przyprawiał nas zawsze o tajemne dreszcze zachwytu, graniczącego z przerażeniem. Do końca życia nie zapomnę tej chwili, kiedy przy końcu wieczerzy wigilijnej babcia z którąś z naszych ciotek znikały nagle z jadalni, a w chwilę potem stary Mateusz otwierał na roścież drzwi od salonu. Osłupiałym naszym oczom ukazywała się nagle rzęsiście oświetlona choinka, uginająca się pod ciężarem łakoci i świecideł a pod nią...

Robiło nam się dziwnie słabo ze wzruszenia. Drżąc, patrzyliśmy na ten cud nad cudy. Ojciec zrywał się z miejsca i wołał wesoło:

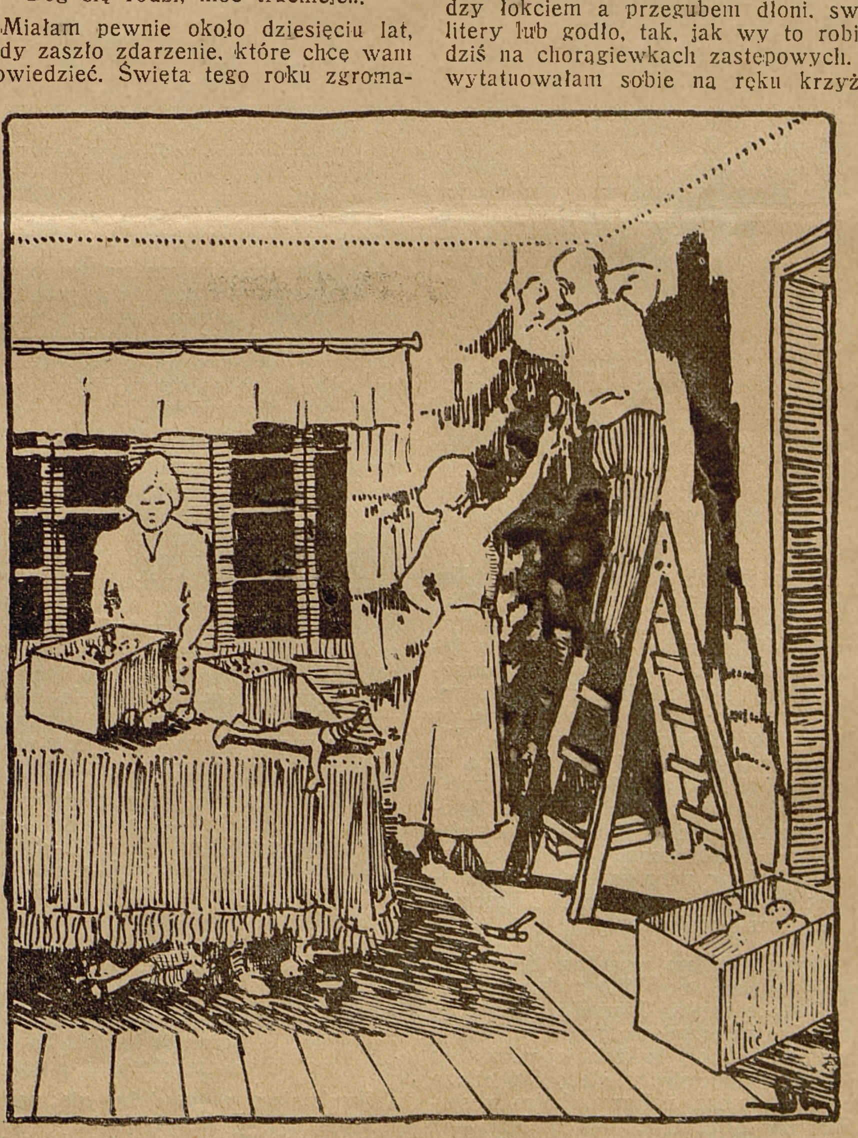
— No, dzieci! dalejże, do kolend!

W salonie głębokiemi akordami odzywał się już fortepian, a głos babci, pełny jeszcze i dziwnie uroczysty zaczynał:

— Bóg się rodzi, moc truchleje...

Miałam pewnie około dziesięciu lat, kiedy zaszło zdarzenie, które chcę wam opowiedzieć. Święta tego roku zgromadziły u nas we dworze liczniejszą niż zwykle gromadkę gości. Przyjechali nieznani nam wujostwo z Warszawy z trojgiem dzieci w naszym wieku. Nas domowych było czworo, nie licząc naszej siostry ciotecznej, sieroty, która wychowywała się w naszym domu. U rządcy naszego było dwoje bardzo grzecznych dzieci, chłopiec i dziewczynka. A mieszkający tuż obok nas dyrektor szybów naftowych miał trzech synów i córeczkę, z którymi byliśmy gorąco zaprzyjaźnieni. Było to więc grono wcale pokaźne.

O harcerstwie wówczas nikomu się jeszcze nie śniło. Ale zawieranie tajemniczych, sprzysiężonych związków tak bardzo leży w naturze dzieci, że oczywiście na trzeci dzień po przyjeździe już umyśliliśmy zawrzeć związek „Błękitnych Rycerzy", poprzedzony surowym egzaminem i straszliwą przysięgą. Przysięgaliśmy więc kładąc rękę na biblji, a każdy zaklinał się na swoje godło: na lwią grzywę, na rogi bawole, na szpony sępa i tak dalej. Na dowód męstwa i wytrzymałości na ból, niektórzy z rycerzy wyryli sobie scyzorykiem na ręku, między łokciem a przegubem dłoni, swoje litery lub godło, tak, jak wy to robicie dziś na chorągiewkach zastępowych. Ja wytatuowałam sobie na ręku krzyż z



rys. Domiszewski.

literami IHS. Mój scyzoryk był tępy i niezbyt czysty, toteż ręka spuchła mi potwornie i miałam niemało kłopotu z ukrywaniem jej przed starszymi. Gdyby się bowiem nasze sprzysiężenie wydało z mojej winy, byłabym na wieki shańbiona.

Związek „Błękitnych Rycerzy" przysiągł sobie bronić prawdy, opiekować się wdowami i sierotami i wypełniać mnóstwo cnót ewangielicznych. Wdowa była jedna na wsi, bardzo biedna, toteż nietrudno nam było wyprosić dla niej trochę starej garderoby i worek kartofli. Sierotę mieliśmy między sobą, ową kuzyneczkę naszą. Była to dziewczynka cicha i skromna. To też nasza „opieka" wyszukana wprawiła ją w taki ambaras, że ze łzami prosiła nas, abyśmy jej dali spokój. Najgorzej jednak poszło z „bronieniem prawdy". Zaraz bowiem wybuchła ostra niezgoda na temat „prawdziwości" aniołka. My wszyscy, wychowani na wsi wierzyliśmy święcie, że przylatuje na swych białych skrzydłach i przynosi nam cudną choinkę, ze wszystkiemi wspaniałemi podarunkami. Przecież tylko jemu powierzaliśmy pocichutku, przy pacierzu, nasze pragnienia i on zawsze do nich się stosował. Ale dzieci wujostwa, troje mieszczuchów, nie mających żadnego poszanowania dla tradycji, zaczęło nas wyszydzać, twierdząc, że niema żadnego aniołka, że dajemy się starszym „nabierać". Oni w Warszawie sami sobie kupują choinkę i sami ją ubierają.

To nam się absolutnie w głowach nie mogło pomieścić. Po gwałtownej dyskusji Związek Błękitnych Rycerzy przestał istnieć, rozpadłszy się na dwie partje: Czcicieli Anioła i Szyderców. Partja Czcicieli Anioła była nierównie silniejsza, ale nie umiała dać sobie rady z wygadną i cynicznie złośliwą partją Szyderców. Wreszcie zapadła taka uchwała: jeden z Czcicieli Aniołów musi się zakraść w nocy do salonu i przekonać się osobiście, jak to jest naprawdę z tą choinką. Wzięliśmy do chusteczki tyle ziarnek fasoli, ile nas było w naszej partji. Wszystkie fasolki były białe, tylko jedna była brunatna. Tę brunatną wyciągnęłam ja... Nikt nie może zdać sobie sprawy z niepokoju, jaki mną miotał do wieczora.

To była ostatnia noc przed wigilją. Nie czekając na rozkaz starszych, wcześniej niż zwykle wszyscy udaliśmy się na spoczynek. Miałam przed sobą trudne zadanie. Zakraść się do salonu, w domu, przepełnionym ludźmi, nie było rzeczą łatwą. Z bijącem sercem przemknęłam się do sali jadalnej. Nie było tam nikogo. Widocznie wszyscy starsi byli jeszcze w pokoju babci, bo słychać było rozmowę i wesołe uśmiechy w tamtej stronie dworu. Z bijącem sercem pocisnęłam klamkę we drzwiach od salonu. Uchyliły się bez trudu. Nie były więc na klucz zamknięte, jak jeszcze przed godziną... Przecież chłopcy sami próbowali...

Jednym skokiem wpadłam do salonu i wsunęłam się pod stół, przykryty ciężką, długą serwetą. Zdawało mi się, że cały salon rozbrzmiewa głośnym stukiem mego serca. Z kryjówki mojej widziałam dobrze całą przestrzeń, słabo oświetlaną niewielką lampą naftową, którą postawiono na fortepianie. Spojrzałam — i serce ścisnęło mi się boleśnie. Między oknami ciemnym zarysem majaczyła, wysmukła i naga, niczem nie przystrojona jodełka, zupełnie taka sama, jak wszystkie jodełki leśne.

— Och, coś tu jest nie w porządku! Czyżby Szydercy mieli rację? — pomyślałam z lękiem, czując, jak ostry kolec zwątpienia rozdziera mi duszę.

Płynęły długie minuty w głębokiej ciszy. Skorzystałam z tego w ten sposób, że ściągnęłam z kanapy do mej kryjówki całą masę poduszek i urządziłam sobie z nich wcale miękkie i przytulne posłanie. Sama nie wiem, jak i kiedy zapadłam w sen głęboki.

Obudził mnie szmer przyciszonych głosów. Wyjrzałam ostrożnie z pod serwety i zobaczyłam w salonie kilka osób, krzątających się żywo koło choinki. Była tam mamusia i obie ciocie, babcia i pokojówka Karolcia. Na chwilę przyszedł także ojciec, przynosząc z sobą pudło z narzędziami. Ojciec zabrał się do otwierania skrzyń i paczek, a babcia i mamusia wyjmowały z nich coś, czego nie mogłam w półmroku zobaczyć. Obie ciocie z Karolcią kręciły się koło choinki. Potem ojciec wyszedł, a wszystkie pozostałe w pokoju osoby zaczęły wykonywać dokoła choinki dziwny jakiś taniec. Widziałam ich ramiona, podnoszące się ciągle do góry. Widziałam, jak wspinały się na palce, wyciągając ręce do sufitu.

— Co to jest? co one robią? — pomyślałam przerażona.

Przekorny głos Szyderców zabrzmiał mi w uszach:

— Oczywiście, ubierają choinkę!

Ale głos mojej gorącej wiary, głos mego dziecinnego, najcudniejszego marzenia, podszepnął mi słowa:

— Odbywają tajemne modły do aniołka, żeby sfrunął z nieba z darami. O, teraz wszystkie razem podnoszą ręce do góry. A teraz szepcą jakieś niezrozumiałe słowa .. Niedługo pewnie przyleci aniołek... Muszę go zobaczyć, muszę powiedzieć tym niewiernym...

Z bijącem mocno sercem patrzyłam z pod stołu na czerń okien i na cienie, wielkie i tajemnicze, migające po suficie i po ścianach. Oczy zaczęły mi się zamykać. Otwierałam je przemocą, walcząc z ogarniającą mnie sennością. Nagle ktoś przestawił lampę i wtedy zaczęły się dziać dziwy. Z ramion babci strzeliły w górę dwa mgliste skrzydła. Biały czepeczek na głowie zamienił się na złote, anielskie loki, zupełnie, jak u tych aniołów przy ołtarzu, w kościele parafjalnym. Takie same skrzydła wytrysły z ramion obu młodych ciotek, a u mamusi nad czołem zalśniła złota gwiazda.

— Jak ci ślicznie z tą gwiazdą we włosach, mój aniołku! — powiedział anioł, który był przedtem babcią.

Niezmierna błogość rozlała się w mojem sercu. Głowa opadła mi na haftowane poduszki. Usnęłam.

Kiedy się znowu obudziłam, w salonie nie było już nikogo. Księżyc jasną strugą wlewał się do pokoju przed odsłonięte okna. A tam, między niemi, coś lśniło, coś migotało tysiącem barw... To choinka! Zupełnie już przystrojona. A pod nią...

Zamknęłam oczy, żeby nie popełnić niedyskrecji. Przecież dopiero po wilji wolno zobaczyć, co aniołek przyniósł... Ale... czy to był aniołek? Czy to byli aniołowie dziś w nocy? Przecież z początku zdawało mi się... Nie, lepiej o tem nie myśleć! Znowu ostry niepokój zatargał mojem sercem. Niepewność i jakiś dziwny żal...

Zaczęłam trząść się z zimna i zdenerwowania. W domu panowała głucha cisza. Widocznie wszyscy już spali. Na folwarku piały koguty. Wstałam cichutko i, nie patrząc na choinkę, odniosłam poduszki na kanapę. Czy chociaż będę mogła stąd się wydostać? Podeszłam cichutko do drzwi i nacisnęłam klamkę. Drzwi się poddały bez oporu. Zatrzymując oddech w piersiach, jak cień przemknęłam się do dziecinnego pokoju. Pomacku odnalazłam swe łóżko i w mgnieniu oka znalazłam się pod kołdrą. Ale nie mogłam usnąć. Głuchy niepokój rósł i rósł we mnie. Zdałam sobie jasno sprawę z tego, że nie będę wiedziała rano, co powiedzieć dzieciom, czekającym z napięciem na moje sprawozdanie. Aniołek nie przyniósł choinki, bo już była w salonie. Ale kto ją ustroił tak cudnie? Kto ułożył pod nią to mnóstwo paczek, które ogarnęłam jednem mimowolnem spojrzeniem? Czy można dopuścić do tego, żebyśmy byli zmuszeni przestać wierzyć w cud? To byłoby okropne!

Wczesnym rankiem partja Szyderców wpadła do dziecinnego pokoju i przyskoczyła do mego łóżka.

— No mów, mów! — widziałaś twego aniołka? — zaczęli wołać drwiąco, śmiejąc mi się w oczy.

Reszta naszej gromadki z gorączkową ciekawością otoczyła moje łóżko.

— Co widziałaś, mów! — pytały moje siostrzyczki.

Spojrzałam naokoło siebie. Kolejno przesunęłam spojrzenia po wszystkich twarzach. I zrozumiałam, że z wyjątkiem trzech obrzydłych mieszczuchów, wszystkie **chciały wierzyć.**

Głos mi się trząsł, kiedy zaczęłam mówić.

— Widziałam... tak, widziałam! Aniołów było więcej! Miały długie, powiewające skrzydła. Przybrały choinkę piękniej jeszcze, niż zwykle.

— Nie kłam! Przysięgniesz? — wołali Szydercy.

— Przysięgnę.

— Przysięgnij na swoje spuchnięte godło! — zawołał chytrze najstarszy z mieszczuchów obnażając jednem szarpnięciem moją okaleczoną rękę.

Mimowoli krzyknęłam z bólu. Spojrzałam z lękiem na potworne, krwawe litery. Położyłam na nich dwa palce prawej ręki.

— Przysięgam na moje spuchnięte godło... — powiedziałam cicho z oczami pełnemi łez. A w duszy dodałam, na wszelki wypadek:

— To były może nasze domowe, opiekuńcze anioły...

W tej chwili Czciciele Aniołów chwycili się za ręce i zaczęli tańczyć taniec triumfu, wrzeszcząc z uciechy tak głośno, że starsi przerażeni wpadli do pokoju. A wtedy dziwna słodycz przepełniła mi serce. Poczułam, że uratowałam dla naszej wiejskiej gromadki coś, co ciężko byłoby im utracić. I uspokoiłam się zupełnie...

To było czterdzieści lat temu.

A wy, dzisiejsi, jakbyście postąpili?

FELIKS DANGEL.

STARY MICHAŁ.

Miał sześć lat, puszyste futro i miękie łapy, które na poroszy śniegowej pozostawiały ślad podobny do odcisku ludzkiej dłoni.

Na końcu pyska miał czarny, bardzo czuły nosek, zawsze wilgotny i świecący.

Latem odbywał dalekie podróże hen! aż po Druję, zimą zaś zamieszkiwał w zacisznym legowisku — barłogu w Worcpajcewskiej kniei. — Gdy był sytym i zadowolonym ze świata i z siebie, wiódł z sobą długie mruczące rozhowory, któreby nieznający się na niedźwiedzim języku ludzie nazwać mogli nieartykułowaną wiązanką chrząknięć...

W okolicy nazywano go „starym Michałem", choć nie był zbyt sędziwym, choć puszyste jego bokobrody nie pokryły się jeszcze szronem siwizny...

Latem zaś, gdy ułożonego na puszystych poduchach mchu, miło przygrzało słońce, wpadał w półsen, pó-marzenie, wdychał małym swym noskiem balsamiczne zapachy jodłowego boru i śnił o latach dziecięcych i o przygodach, których zaznał w życiu...

A przygód tych było wiele jak na sześcioletniego niedźwiedzia. Przez mgławicę pamięci widział siebie malutkim niedźwiadkiem baraszkującym między łapami matki niedźwiedzicy, pamiętał pierwszego zaduszonego kreta i pierwszą wyprawę ku ludzkim sadybom...

O to, to pamięta najlepiej... Noc była wtedy letnia, duszna i upalna, lekki zefir od wód puszczańskich płynący, nie przynosił ochłody i upojenia, na skraju zaś puszczy, na polach przez człowieka posianych, odurzająco pachniała gryka...

Pamięta dobrez tę noc. Matka szła lekkiego truchta przed nim, co chwila oglądając się za malcem. Biegli pierw przez las mokradłowy, potem przez bór sosnowy aż kolumny drzew, rzednąć zaczęły i przed oczami niedźwiadka rozpostarła się przestrzeń wielka w ramy lasu nie ujęta, bez kresu i bez dna...

A potem przez płoty, wśród drzew sadu przemknęli ku pasiece, w której rzędami poustawiane stały małe słomiane budki i kłody tak pięknie miodem pachnące... Michał odsapnął na wspomnienie tego zapachu.

Pamięta, co dalej było...

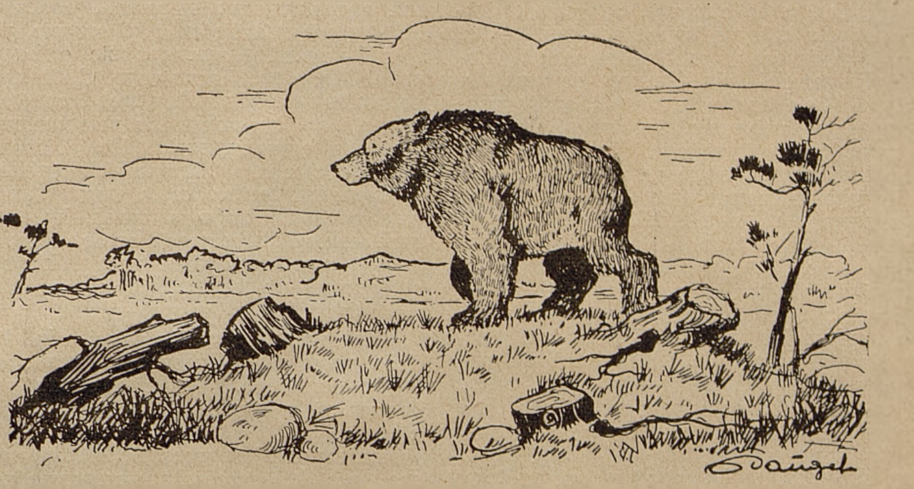
Oto matka pacnęła łapą jeden taki stożek, ten przewrócił się, a z wnętrza z wielkim szumem i bzykiem wyleciało pszczół kilkadziesiąt

Niedźwiadek bacznie obserwował, co bedzie dalej.

Pszczoły nie żądliły go, gdyż plątały się w długą szerść niedźwiedziego brzdąca, gdy zaś która bardziej domyślna do mniej owłosionego pyszczka się dobierała, pacał łapą i odganiał natretny owad...

W tym samym czasie, niedźwiedzica tylnemi nogami weszła w ul bezdenek, depcząc zapamiętale woszczyznę, miód i pszczoły, niszcząc je, ale tym samym ratując siebie i dziecko od zemsty roju.

Gdy już pasztet miodowo-pszczeli był gotów, łapą wydobywała z ula swoistą potrawę, karmiąc wpierw niedźwiadka i sama jedząc...



To było najmilsze wspomnienie młodości...

A potem, potem... nadeszła zima.

Rodzinną knieję przygięły do ziemi wielkie zwały śniegów. Świerki gięły się pod ich ciężarem a matka nerwowo i niecierpliwie wykańczała, arcytrudną i skomplikowaną architekturę barłogu. Aż któregoś poranka, gdy jak zwykle poszła na poszukiwanie miękich gałązek jodłowych na legowisko, niedźwiadek (leniwie i sennie wypoczywał wtedy w barłogu) posłyszał dziwne odgłosy, któremi rozlegała się knieja, nawoływanie, szczek zwierząt do szczeku wilczego podobny i trzask, suchy trzask.

Od tej chwili matka już nigdy więcej do barłogu nie powróciła, a niedźwiadek jej już nigdy nie zobaczył... Z początku bał się trochę i za matką piszczał, ale późniei najłaskawsza matka, Pani Natura, osierocone niedźwiedzię ukołysała do snu zimowego i Michał zachrapał...

Następnej wiosny, obudził się zgłodniały i wychudzony, ale czuł się już dorosłym niedźwiedziem...

Tego roku zobaczył też poraz pierwszy człowieka... O tworze tym miał bardzo skąpe wiadomości. Wiedział, że człowiek potrafi tak jak niedźwiedź chodzić na dwu łapach, że zawsze czegoś jest krzykliwym i wykonywuje za dużo niepotrzebnych ruchów

Raz spotkał Michał nawet kilkoro ludzi.

Bogowie leśni! co to była za awantura. Stary Michał wybrał się na jagody. Rosły one obficie na obłych wzgórzach poręby leśnej. Słodkie były, zimne i soczyste. Zbiera sobie niedźwiedź najspokojniej jagódki, aż tu naraz jak coś nie wrzaśnie przeraźliwie. Miś podniósł łeb myśląc, że spłoszył ptaka, patrzy aż tu kilka takich ludzkich tworów w czerwonych chustach na głowie, pędzi ze wzgórka, aż ziemia dudni.

Dziewczęta uciekły piszcząc, a Michał zaspokoiwszy głód, najspokojniej wrócił do lasu.

Innym razem, równie niespodzianie napotkał się z ludźmi na porębie leśnej, gdzie sortowano drzewo.

Ludzie ci nie mieli chust czerwonych na głowie, nie krzyczeli jak sojki, ale zato siedzieli na grzbietach jakichś zwierząt, które na widok Michała zaczęły na zadach przysiadać.

Michał spoglądał i słuchał.

— Co to wilk, że konie się tak niepokoją?

— Nie jaśnie grafie, niedźwiedź.

— Niedźwiedź! Gdzie?

— A jaż że on i stoi.

— Acha widzę. Ilu ich tu jest?

— Było więcej. Tylko nieboszczyk ojciec miłościwego grafa był wszystkie wystrzelawszy...

— Nie strzelać mi ich tu wcale. Podjedziemy.

— Słucham.

Niedźwiedź przysłuchiwał się denerwującemu go rechotowi ludzi, gdy zaś zobaczył, że ludzie na dziwnych zwierzętach podjeżdżają fuknął zirytowany i pobiegł ciężkiego galopka do lasu.

Tej nocy był tak zdenerwowany, że dla uspokojenia się zrobił spacer czterdziesto kilometrowy...

— — — — — — — — — — — — — —

Święty Marcin przyjechał na białym koniu, wrony obsiadły nisko brzozy, sowa zahukała o północy w kominie.

Nadeszła zima.

Chaty wsi i zaścianków wdziały na siebie białe pierzyny droge dworską z powodu silnych zamieci śniegowych rozkopywano szarwarkiem...

Za mroźną mgłą widoczne na widnokręgu lasy, wabiły ku sobie ochotą łowiecką...

Leśnik Daniłko w pełnym rynsztunku łowieckim, z flintą pistonówką przewieszoną przez plecy zameldował się od samego rana...

— Tak cóż panoczek... pójdziem?

— Możnaby spróbować.

— Cóż tu próbować. Czas piękny, zając tylko w taka pogoda i śpi na polu, a daj Bóg co i w las pójdziem, hto nie co naleść możno.

Małe kresowe sanie, rozwalizny niekutemi płozami pruły sypki od mrozu śnieg. Mały żmudzki konik siekł drobnego kłusa, co chwila parskając wesoło na dobrą wróżbę. Nad polami zawisła śnieżna martwica iskierkami śniegu pijąc zimne słońce, które zawisło na bezdusznym grudniowym niebie...

Wjechaliśmy w las...

Tu panoszyła się bajka zimowa z białych zwałów śniegu i kolumnad drzew czarując andersenowski kraj rzeczywistości.

JAK URZĄDZIĆ OBÓZ ZIMOWY.

Wiele drużyn harcerskich stanie tego roku wobec nowego całkiem faktu — urządzić obóz zimowy. Są jednak drużyny dla których to nic nowego, bo już miały imprezy tego rodzaju, już zdobyły pewne doświadczenia na tem polu. Doświadczenia te wykazały, że obozowanie drużyn pod namiotami w zimie to muzyka przyszłości. Obecnie musimy zakwaterować obóz w budynku mieszkalnym ogrzewanym. Najlepiej można wykorzystać sale szkół powszechnych wolne podczas wakacyj zimowych (zwrócić się o nie listownie do kierownika szkoły, on pomoże w tem drużynie). Wielu górali (obozy nasze będziemy robili przeważnie w górach) posiada domki, wille, które letnikom wynajmują; w zimie tworzą one świetne kwatery dla obozów narciarskich. Bez nart nie mamy co wybierać się na obóz zimowy.

Ubiegłego roku pisałem szczegółowo w „Na Tropie" o urządzeniu się na tego rodzaju obozie więc odsyłam czytelników do niego. Tutaj omówię rzecz bardzo ważną: program pracy takiego obozu. Uwzględnimy tu trzy najważniejsze działy: 1. sportu narciarskiego, 2. turystyczny, 3. harcerski.

Pierwszy dział powinien być prowadzony przez fachowego instruktora, może nim być profesor gimnastyki gimnazjum lub szkoły; należy go poprosić, a napewno zgodzi się pojechać z drużyną, albo instruktor harcerski z tą rzeczą zaznajomiony; kierownik obozu, o ile sam nie zna się na tym sporcie, winien koniecznie wystarać się o kogoś mniej lub więcej fachowego. Obóz cały podzielimy na początkujących i zaawansowanych i będziemy ich wtajemniczać w technikę jazdy, podchodzenia, zasadniczych ewolucyj narciarskich skoków terenowych, wieczorami przy gawędzie powiemy im o smarach, hygjenie narciarskiej, konserwacji sprzętu, a pod koniec urządzimy bieg narciarski, dostosowując go oczywiście do poziomu i sił chłopców.

Dział turystyczny, to wycieczki, będące praktycznem zastosowaniem sportu narciarskiego. Podczas obozu wędrownego wysuniemy to na pierwszy plan.

Koniecznem jest wreszcie, abyśmy naszą technikę harcerską przeprowadzali w zimie w terenie. Przeprowadzajmy ćwiczenia harcerskie na śniegu: łapanie zbiega, ucieczka sybiraka (materjał w „Gry i zabawy" Moymira), róbmy tropienie i podpatrywanie zwierząt, pomyślmy o ćwiczeniach sygnalizacyjnych w warunkach zimowych. Pamiętajmy jednak, że ćwiczenie na śniegu musi mieć dużo ruchu i ciągłą zmianę miejsca, bo inaczej zmarzniemy i ćwiczenie w łeb weźmie. **Żbik Piewca IX kr.**

„W GROMADZIE ZUCHÓW".

Nowy podręcznik pracy zuchowej, wydany nakładem „Na Tropie", już wyszedł z druku. Podręcznik ten został przygotowany przez Wydział Zuchów Głównej Kwatery staraniem i pod redakcją druhny Jadwigi **Zwolakowskiej.** Jest to książka przeznaczona dla kierowniczki gromady zuchowej, omawiająca w poszczególnych rozdziałach zasadnicze wiadomości, potrzebne w pracy zuchowej, a więc psychologię dziecka, typ zucha, organizację zuchową; podająca niezbędny materjał praktyczny w formie opowiadań i bajek, piosenek i tańców, gier zuchowych itp. Książka zawiera również wszystkie obowiązujące obecnie przepisy, odnoszące się do wymagań, stawianych kierowniczce gromady, administracji gromady tekst prawa i gwiazdek zuchów, oraz zuchowych sprawności. Bogato i starannie opracowany materjał zawarty w tej książce, daje zasadniczą podstawę do prowadzenia pracy zuchowej, to też jest rzeczą niezbędną, aby z książką tą zapoznały się wszystkie kierowniczki pracy zuchowej oraz wszystkie osoby w pracy zuchowej zainteresowane.

Książka jest do nabycia w Administracji „Na Tropie", Katowice, ul. Szafranka, konto P. K. O. 305 330 w cenie 4 zł. 50 groszy.

Zawody łyżwiarskie.

Ustawić się w szeregu. Na komendę: „na miejsca!" — dokładnie wyrównać wykroczną nogę; na „gotowi!" — mocno oprzeć się wewnętrzną krawędzią łyżwy zakroczenej o lód; „Hop!!" — zerwać się do biegu i mknąć co sił aż do mety. Ślizgawka zapewne nie będzie tak szeroka, by wszyscy odrazu mogli wystartować, wobec tego podzielmy się na grupy, naprzykład po 4-ch. Każda grupa startuje raz i dwóch najlepszych z tego przedbiegu łączy się z dwoma najlepszymi z następnej czwórki tworząc drugi przedbieg. Później z tego przedbiegu (zapewne będzie to już półfinał) dwaj najdzielniejsi wejdą do finału. Ostatnia czwórka zadecyduje o czterech kolejnych miejscach wszystkich, uczestniczących w wyścigu.

„Mistrza" należy obić śnieżkami, by było weselej. Mogą to zrobić druhny wtedy będzie jeszcze weselej.

Niekoniecznie mistrz będzie mistrzem w drugich wyścigach; rozpędzić się co sił na określonym odcinku i po przekroczeniu linji startu mknąć jak najdalej bez ponownego odpychania się. Po zatrzymaniu zaznaczyć to miejsce kreską i czekać, czy następny łyżwiarz z tegoż samego lotnego startu pobije rekord.

I ten mistrz niezawsze będzie pierwszym w innej odmianie wyścigów: wyścigi bez odrywania łyżew od lodu.

Wszyscy, albo tylko czwórka, jeśli mają być przedbiegi, stają w lekkim rozkroku i na „hop" ruchem wężowym obu nóg, lub pisząc łyżwami literę O raz po raz starają się dotrzeć do mety jak najprędzej.

Czyż nie zainteresuje pytanie — a kto jeździ najszybciej tyłem? Najpierw stylem dowolnym — są tacy magicy, co biegają na łyżwach tyłem zacinając łyżwami podobnie jak przy zawodach wprzód, następnie „stylem klasycznym" to znaczy — nie odrywając nóg od lodu.

Dobry organizator podzieli wszystkich za względu na umiejętność łyżwowania się na dwie lub nawet trzy klasy, stwarzając dla druhen trzecią, tak zwaną ekstra klasę — i w każdej z nich przeprowadzi zawody.

Cichy, piękny i majestatyczny jest kresowy bór zimą.

Sanie szły coraz to wolniej, aż przystanęły. — Leśnik Danilko zeskoczył w śnieg.

— To i nam dalej jechać nie potrzebno. Kcesz pan co ubić to pieszkiem pójdziem.

Zabrnęliśmy w bajkową krainę zimy Zwaliska i konary drzew umarłych i zwalonych, śniegiem i lodem pokryte wymodelowały się na szkarpy i gzymsy ruin miast białych jak duchy dmuchawica śniegowa wyrównała doły i urwiska, a mróz ściął bagna, na szkliste posadzki.

Aż wtem w ciszy zimowego lasu dał się słyszeć głos jakiś obcy i niezrozumiały.

Miało się wrażenie, że ktoś kichnął mocno basowym głosem.

Danilko szarpnął mnie za rękaw, palcem wskazując przedmiot jakiś widoczny już dlań w zwaliskach drzew.

Oczy zmęczone blaskiem śniegowisk daremno szukały objektu zainteresowania leśnika.

Aż wtem płat śniegu na zwalonej sośnie wyrosły, usunął się ruchem jakiegoś zwierza strącony. Na białym pniu zaczerniła się pierw linja grzbietu, a następnie łeb niedźwiedzia. Danilko irytował się.

— Strelaj panok! miedzwiedz.

Nie strzeliłem jednak.

Michał, Stary Michał popatrzył na ludzi ciekawie zaspanym wzrokiem, jak gdyby pytając „a która tam u was godzina?" sapnął niezadowolony z przerwanego mu snu i za chwilę zginął nam z oczu.

— Uch takogo zwierza nie ubit, to grech! — zawyrokował leśniczy...

Las poważny las, zimowy zdumiony spoglądał na myśliwych wracających do domu z pustemi saniami.

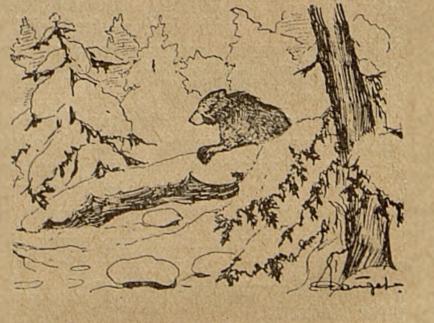
Bezmyślna i bezcelowa trzebień niedźwiedzi doprowadziła do omal że zupełnego zaginięcia niedźwiedzia w polskiej kniei. Żyje ich jeszcze jednak kilkadziesiąt w lasach kresowych pieczołowicie ochranianych przez władze i obywateli ziemskich.

Żyje i stary Michał w Woropajewskiej kniei i żyć będzie jeszcze długie lata...

Nawet gajowi opowiadają, że roku bieżącego się ożenił i że obiecuje puszczę zaniedźwiedzić...

Gdy wam wypadnie zatem kiedykolwiek wśród pni puszcz kresowych napotkać niedźwiedzia, nie róbcie mu krzywdy, a broń myśliwska, już wycelowana, niech opadnie, nie dawszy strzału...

Bo jako żywo moglibyście zrobić krzydę Michałowej dziatwie.





ŁYŻWY.

Warto mieć własne łyżwy. Jeśli rośniesz szybko, nie opłaci się kupować łyżew pierwszorzędnych w cenie 30 do 50 zł., zupełnie wystarczą łyżwy: „Skaut", polerowane w cenie 8,50 zł. Jeśli natomiast noga prawie nie zwiększa swej długości, bo masz 17—18 lat, znacznie taniej będzie kupić porządne łyżwy, przykręcane lub przyśrubowane na stałe do bucików, ponieważ będą służyć kilka lub kilkanaście lat.

Tanie łyżwy są pożyteczne dla rosnących organizmów, gdyż po roku używaniu lub dwóch stają się niezdatne ze względu na wydłużenie się nogi. Wiadomo każdemu, iż koniec łyżwy powinien dochodzić dokładnie do końca zelówki — krótsza prawie uniemożliwia ładną jazdę, dłuższa łyżow powoduje wywracanie się. Kupować łyżew na wyrost nigdy nie należy; nie nauczysz się żadnych figur i możesz zupełnie zmanierować styl. Z tego powodu tak stanowczo doradzam kupowanie tanich łyżew na 1—2 lata.

Bo gdybyś teraz kupił wspaniałe „Marathony" za 43 zł. — okazałoby się na przyszły rok, że stal trzyma bez najmniejszej skazy, nikiel nigdzie nie został starty, a jednak... szukasz amatora do okupienia, ponieważ stały się zbyt krótkie.

Radzę zatem młodszym dzielnym harcerzom kupić tanie łyżwy.

Starszym, pomimo kryzysu, doradzam kupienie w jak najsolidniejszej firmie stalowych niklowanych, przymocowywanych na stałe łyżew, bo wydatek jednorazowy zaoszczędzi w ciągu kilku lat sumy, jakie należałoby wydać na coroczne dokupywanie łyżów.

Łyżwy, obojętne w jakiej cenie, powinne mieć dobrą krzywiznę ostrza. Wystarczy przy zakupnie ustawić ją ostrzem na stole, by móc stwierdzić, jaką ilością powierzchni styka się ona ze stołem. Im większa powierzchnia stykania się, tem szybciej można mknąć — taką właśnie powierzchnię bez krzywizn mają łyżwy wyścigowe, odwrotnie, czem łuk większy, tem łatwiej robić rozmaite trójki, ósemki piruety i inne piękne figury. Otóż cała mądrość kupującego powinna być tak użyta, by wybrał łyżwy o odpowiedniej dla siebie krzywiźnie.

Dla zwykłych śmiertelników, którzy sport łyżwiarski uprawiają jako rozrywkę, jako ćwiczenie na świeżem powietrzu połączone z przyjemnością, doradzam średnie krzywizny, prędzej zbliżone do jajowatych, niż do półkolistych.

Następną kwestją będzie wysokość łyżwy, to znaczy odległość od powierzchni lodu do podeszwy, gdy staniemy na łyżwach. Wysokie ułatwiają pochylanie tułowia, utrudniają natomiast równowagę, wymagając mocniejszych więzadeł i mięśni stawu skokowego. Figurowe łyżwy przeważnie są zbyt niskie; po pewnym czasie ściera się z tego powodu podeszwa bucika, wobec tego radzę: należy łyżwy wybierać prędzej wysokie, niż niskie.

Buciki do łyżew, szczególniej na mróz, powinne być luźne (po włożeniu grubej, wełnianej skarpetki!) i mocno zasznurowane. Umiejętne dopasowanie bucików jest znakomitem ułatwieniem do jazdy zwykłej i popisowej.

Czy paski są potrzebne? Nie, jeśli łyżwa pewnie została przymocowana, to znaczy, jeśli obcas nie jest papierowy. Uważam paski przy pewnie przykręconych łyżwach za zupełnie zbędne.

Przegląd wydarzeń sportowych.

W Wilnie — śnieg po uszy! Po uszy, dajmy nato myszy, lub innego kurczaka, lecz: „po uszy!" Ludzie jeżdżą tam na nartach, łyżwują się — my jeszcze nie możemy. W Wilnie mają się odbyć prawdziwe zawody międzyszkolne. Nawet wychowawcy fizyczni wysunęli projekt stworzenia Uczniowsk. Związku Sportowego.

W Poznaniu — seminarjum państwowe w Krotoszynie zdobyło prześliczną nagrodę kuratorjum O. S. za zespołowe strzelanie w korespondencyjnych zawodach strzeleckich. Ogółem stawało 76 szkół. Tak, cyfra ta coś mówi. Pozatem k-da chorągwi organizuje kurs narciarski w Zakopanem.

W Warszawie podobno „gry sportowe idą już nareszcie pełną parą", chociaż jakoś o nich cicho, wiadomo tylko, że biedna Polonja spadła z Ligi, natomiast Czarni utrzymali się.

W Katowicach I. F. C. pokonał S. V. 09 z Bytomia w piłce nożnej 3:0, najciekawszem było jednak otwarcie sezonu hokejowego meczem Katowice — Wrocław 2:0.

W Łodzi odnieśli bokserzy niezbyt przekonywujące zwycięstwo nad Szwedami 9:7, z powodu kilku nadwag zawodników szwedzkich (walkowery).

W Szwecji cieszą się rodziny bokserów szwedzkich, znajomi i nieznajomi z powodu ogólnego bilansu trzykrotnych występów reprezentacji szwedzkiej (dobrzy technicy a przedewszystkiem — dżentelmeni):

Szwecja — Polska	8 : 8
Sztokholm — Inowrocław	13 : 3
Sztokholm — Łódź	7 : 9
Razem	28:20

Hej, Komendancie Chorągwi albo inny referencie od W. F.!

Przecież nie uwierzy nikt w śpiące w. f. w harcerstwie! Ono napewno tętni tak mocno, tak mocno, że — wszyscy o tem powinni wiedzieć. Wobec tego wzywam:

wszystkich dzielnych harcerzy
jeszcze dzielniejszych zastępowych
i najdzielniejszych drużynowych
by:

nadesłali **komunikaty** z dziedziny w. f. (nie: projekty, że „zamierzamy rozegrać mecz hokejowy z 3 PDH", tylko: „I Śremska rozegrała dnia . . . siatkówkę z VIII Wileńską z wynikiem 28:30" nie — „K. H. postanowiła utworzyć Harc. Klub Sport." tylko: „Dnia 10 12. 1932 roku odbyło się pierwsze zebranie H. K. S. i pierwsze treningi wybijanki, ping-pongowe i jazdy figurowej!"

Rozumiecie?

Adres: Rydzyna Wlkp., zamek
O. Żawrocki.

Nie zapomnijcie, mili „natropowcy" pielęgnować swoje łyżwy, choćby miały za sobą kilka lat służby:

1. Nakładaj łyżwy tylko na lodzie
2. Po użyciu oczyść je i **wysusz.**

To są dwa żądania minimalne, jeśli potraficie przed użyciem lekko nasmarować je tłuszczem, szczególniej w okolicach niedostępnych dla wycierania — i łyżwy i wy i ja, słowem cała banda będzie zadowolona.

Ha! Ha! Ha!



rys. Domiszewski.

Dwaj pospolitacy, matematyk i prawnik zakładają koniowi uzdę. Wszystko idzie dobrze, tylko nie mogą wciągnąć wędzidła, gdyż koń uparcie nie otwiera pyska. Meczą się obaj długo, wreszcie mówi prawnik:

— No — niema co, musimy czekać.
— Na co? — pyta matematyk?
— Ha, aż łajdak ziewnie — rzecze sprytny prawnik.

Na Tropie Zuchów

GWIAZDKA BRONKA.

Bronek był dzielnym chłopcem. W gromadzie zdchowej został nawet szóstkowym, gdyż wszystkim imponował odwagą i sprytem w grach. Może zresztą i inny był powód nominacji na szóstkowego? Może przyczyniły się do tego łyżwy Bronka, prawdziwe ze sklepu, które miał „na własność" i sanki (również własne!), na których zawsze brał konkursy w zjeżdżaniu i — cud nad cudy! — narty! Jakżeż nie wyróżnić właściciela tylu skarbów szczególnie, że nie jest on sknerą i często je innym pożycza „na chwilkę".

Łyżwy, sanki i narty dostał Bronek na gwiazdkę. Jednego roku to, drugiego tamto. Zawsze coś nowego i zawsze jakąś wspaniałą, wymarzoną rzecz. Aż dziwno było, skąd ojciec zgadywał najskrytsze jego życzenia.

Tego jednak roku coś się zepsuło. — Matka od jesieni ciągle leżała w łóżku i nieraz przychodzić musiał doktór, ojciec często nie chodził do pracy i jakoś mało przynosił pieniędzy. Nawet mięso przestali jadać codzień, a tylko dwa razy w tygodniu. A któregoś listopadowego wieczoru usłyszał Bronek, usypiając, rozmowę rodziców o przyszłych świętach.

— Będziemy mieli zły rok — mówił ojciec. Kryzys i nam pokazał swe zęby. Będziesz musiała ogromnie oszczędnie urządzić święta. Chyba prócz śledzi, zamiast ryby, na nic sobie nie pozwolimy.

— Drobnostka — próbowała uśmiechnąć się matka. — Zobaczysz jak wspaniale usmażę śledzie w cieście. Najsmutniejsze, że Bronkowi nic nie będziemy mogli kupić. To będzie jego pierwsza gwiazdka bez prezentu. A już, biedak, od miesiąca wypytuje się mnie o choinkę i materjał na robienie zabawek.

Bronkowi odrazu odechciało się spać. Więc to tak? Nie będzie choinki? Ani żadnej gwiazdki? A tak marzył o młotku, siekierce i heblu do majsterkowania. Inni pewnie będą mieli, a on nie... I tak się Bronkowi zrobiło żal samego siebie, że aż łzy zakręciły się w oczach. Po chwili jednak zmarszczył czoło i myśleć począł o czemś zawzięcie. Myślał tak mocno, że o mało nie przygryzł sobie języka. Przewrócił się na jeden bok, potem na drugi, coś mruczał do siebie, komuś wygrażał. A gdy usypiał, wargi jego mimowoli poczęły układać się w uśmiech.

Czas szybko leci... Pierwszy śnieg, tygodniowa przerwa w lekcjach z powodu odry, popis szkolny — i święta. Oto siedzą wszyscy przy wieczerzy — ojciec, matka, ciotka Jadwinia i Bronek. A choć na stole jest tylko smażony śledź, a tradycyjne kulski mają jakoś bardzo mało maku, choć nie ma w kącie choinki — wszyscy są jednak weseli, śmieją się, dowcipkują. a ojciec z ciotką zaczęli nawet śpiewać fałszywemi głosami: „Lulajże Jezuniu".

W pewnej chwili mimowoli zrobiło się jakoś cicho i ojciec, marszcząc brwi, odezwał się do Bronka:

— Bardzo mi przykro synku, lecz tego roku święty Mikołaj nic ci nie przywiódł. Widać zapomniał o nas.

Twarz matki odrazu zasępiła się. Ciotka udawała, że patrzy przez okno na prószący śnieg. Jeden tylko Bronek zdziwił się wesoło:

— Zapomniał, tatusiu? A mnie się w nocy zdawało, że jakiś starzec z siwą brodą coś kładł tam, gdzie zawsze, za piec. Zobaczmy!

Wyraźna przykrość odbiła się na twarzy ojca. Naraz — oczy otworzył szeroko. Bronek, sięgnąwszy za piec, wyciągał stamtąd jakiś zwitek papieru, przepasany piękną czerwoną wstążką. Matka i ciotka spojrzały na siebie zdumione.

— Świadectwo szkolne — krzyknęła ciotka, rozpakowawszy prędko zwitek. Cenzura Bronka! Prawda, zapomnieliśmy przecie, że tego roku półrocze jest przed Bożem Narodzeniem. A to smyk jeden! Cooo? Z polskiego bardzo dobrze? Ho-ho-ho!! Z rachunków też bardzo dobrze? I tylko dwa dostatecznie? Tego jeszcze nigdy nie było! Ależ z ciebie zuch! prawdziwy zuch!

— Bo widzisz — szeptał Bronek do ucha ojcu, gdy ten przestał go ściskać. — Zawsze święty Mikołaj mnie przynosił podarunki. Więc dobrze, że choć jednego roku przyniósł tobie i mamusi. **B.**

Jak Poznań robi ofensywę zuchową.

Poznaniacy uwzięli się widocznie aby wziąć prym w ofensywie. Chorągiew ich liczy obecnie 110 gromad zuchowych i zuchów jest tam dwa razy więcej, niż w roku zeszłym. Ale to wszystko jest mało. Niedostatecznie! Boć przecie drużyn harcerskich znajduje się tam aż 282! Brak więc 172 gromad. które trzeba jaknajprędzej zorganizować. Które **muszą** powstać tego jeszcze roku harcerskiego.

Więc Wydział Zuchów dwoi się i troi. Jeden kurs — drugi kurs. Dziś wizytacja tu — jutro tam. Gostyński robi zbiórkę pokazową dla wodzów, a druh Skrzypczak układa dowcipne gry i ćwiczenia. Druh A. Dźwikowski, kierownik wydziału, wydał drukiem broszurkę: „Materjał do pracy zuchowej", aby ułatwić pracę wodzom. Wydał ją w listopadzie, a w grudniu zorganizował kurs majsterklepkostwa.

— Ofensywa m u s i się udać — mówi dh. phm. Dźwikowski. Jeśli nie zdołamy wszystkich poorganizować w zimie zrobimy tu na wiosnę taki rumor, że cała Wielkopolska zagada o zuchach. Mianowicie planujemy zorganizowanie dużego turnieju wiosennego. Wyobrażam sobie miny poznańczyków, gdy ujrzą na ulicach wielkie oddziały zuchowych łuczników i procarzy, gdy całe gromady przemaszerują miastem na szczudłach, a specjalne oddziały na hulajnogach będą otwierały pochód. No i latawce też znajdą się w tej agitacyjnej defiladzie. Przynajmniej pięć gromad z latawcami! Turniejem tym „dobijemy" ofensywę.

Jestem tego samego zdania co Wy, Druhu. Ofensywa Wam się powinna udać. Tylko jeszcze mocniej, jeszcze śmielej i z jeszcze większą pracą maszerujcie naprzód. **A. K.**

Komancze na ścieżce wojennej.

(Dokończenie).

Oho! Ostry Pazur jest hyży jak jeleń; ucieka wdół jaru, tuż za nim — o n i! Świsnęła strzała jedna, druga!

Ostry Pazur dopadł już wąskiej gardzieli wysokiego jaru.

Ale za sobą czuje tuż, tuż wściekły, świszczący oddech, wyciągają się rece... Jeden skok i runie wdół!

Witem okrzyk głośniejszy, wrzawa pogoni — odbija się o ściany jaru:

O — hej!

Biali zamarli w bezruchu. Odwracają głowy: za nimi tuż - tuż, suną Komancze zamykając wyjście. Łuki napięte. Jedna sekunda, jeden ruch Bladych Twarzy a dźwięknią cięciwy i słońce zakryje chmura pierzastych strzał, które nie chybiają celu.

Ostry Pazur już jest na dole. Biali, zbici w tłoku, pozbawieni możności swobodnego ruchu i obrony mogliby biec dalej. Ale jeden rzut oka wystarczy: wdole pod rozpadliną skalną, czuwają również Komancze.

Biali składają broń.

*

Długo w noc przeciągnęły się tańce i śpiewy. Radosnym okrzykom nie było końca.

Ostry Pazur otrzymał z rąk wodza „Znak Niebieskiego Kwiatu" najwyższą odznakę bohaterstwa i sławy —
imię jego dźwięczało w pieśniach

*

Łysy księżyc, zbudzony ze snu wychylił głowę z za chmur zalewając doline nad Wielką Płynącą Wodą srebrnym, tajemniczym blaskiem...

*

Nazajutrz cicho było w okolicy. Blade Twarze odeszły puszczone wolno, unosząc ze sobą swoje skalpy.

*

Kiedyś po wielu latach zagnały mnie losy nad Płynącą Wodę. W Gromadzie Komanczów siedział Wódz Białych. Pozostał w plemieniu. Nie chciał odejść od swego Znaku. Był smutny, choć znał sztuki zamawiające ból innych, kochali go wszyscy: „Wielką Bladą Twarz z Czarnym Zarostem".

* * *

I wiesz co? Nieraz sam myślę że to chyba bajka... Ale nie, mam dotąd jeszcze to samo orle pióro, które nosił we włosach dzielny Ostry Pazur i kilka suchych płatków z błękitnego kwiatu bohaterstwa i sławy. Mogę ci je nawet pokazać

Stan. Mościcki.

D. KORNIK.

MARNOTRAWSTWO.

Znałeś dawniej Wojciecha? — Któż nie znał? co teraz
Bez sług, ledwo w opończy brnie po błocie nieraz;
Niegdyś w karecie, z której dął się i umizgał,
Takich, jakim jest dzisiaj, roztrącał i bryzgał.

J. Krasicki „Marnotrawstwo".

Książę biskup o marnotrawcach.

Na marnotrawstwo i oszczędność może sobie prawie każdy człowiek pozwolić. Ale są rasy i narody specjalnie uzdolnione do jednego lub do drugiego. Rzadko można spotkać marnotrawnego Francuza lub Żyda, marnotrawny Polak lub Rosjanin wyrasta nawet tam, gdzie do nikt nie posiał. Przykre to, ale prawdziwe. Zajrzyjcie do literatur polskiej czy rosyjskiej, zajrzyjcie do serc waszych. Trzeba poprawić naszą opinję.

Marnotrawstwo jest przyjemne odrazu, oszczędność sprawia bezpośrednią przyjemność rzadko. O ludziach, którzy oszczędzają dla samej przyjemności oszczędzania niedużo dobrego da się powiedzieć, jak za chwilę się przekonamy. Ale oszczędność rozumna jest źródłem przyjemności, która nadejdzie właśnie wtedy, gdy jej najbardziej będzie potrzeba. A przyjemne marnotrawstwo jest źródłem całej fury trosk, nadchodzących w chwili najmniej do tego sposobnej.

Oto zobaczmy tego marnotrawnego Wojciecha, o którym z taką zjadliwością pisze w swoje satyrze biskup Krasicki. Narobił pan Wojciech dużo pieniędzy, zbił kiesę i przewróciło mu się w głowie. Nuż imponować innym, rozbijać się karetami, lokajów sobie utrzymywać w szamerowanych liberjach, pałacyki budować, zagraniczne faramuszki i łaszki sprowadzać, drogiemi winami zalewać pałę sobie i drugim,— no i skończyło się. Teraz „brnie po błocie nieraz". A im później skończy się tem gorzej. Bo właśnie wtedy, gdy człowiek zestarzeje się, wyzuje z sił fizycznych i umysłowych hulaszczem życiem, zdemoralizuje nikczemnem próżnowaniem, zbytkami, pochlebstwami, żerujących na jego majątku wyrzutków — wtedy zostaje sam: bez pieniędzy i bez „przyjaciół", którzy byli tylko cieniem tych pieniędzy i wraz z nimi znikli. Wtedy pan Wojciech zaczyna łbem kołysać, a sklamrzeć, a oglądać się za ratunkiem — a tu niema znikąd; sam już nic zrobić nie potrafi, bo za długo nie robił niczego, nikt go nie poratuje, bo ci, co korzystali z pieniędzy głupca byli nikczemni, a dobrzy stracili do niego zaufanie i zapomnieli o nim.

Oszczędni mają głos.

Każdy żyjący stwór dostrzega potrzebę oszczędzania. Pszczoły i mrówki wiodą prym w zapobiegliwości; niedźwiedź tak dokładnie obżera się przed zapadnięciem w sen, że później może spokojnie przez całą zimę zjadać sam siebie; wiewiórka robi zapasy orzechów; a głupie wróble, co lekkomyślnie kombinują, że zawsze przecież coś się gdzieś znajdzie do zjedzenia, wymierają ostrzejszą zimą setkami. Są i ludzie, którzy zaopatrują się na zimę swego życia, na okres, gdy trudno im będzie pracą zarobić na utrzymanie, na wypadek choroby swojej czy kogoś z rodziny, wreszcie by móc czas wakacyj czy urlopu przepędzić w sposób jak najprzyjemniejszy. Ale są też i tacy, co zbierają pieniądze dla samej przyjemności zbierania. Nie doje, nie ubierze się porządnie, mieszka w wilgotnej, brudnej norze, a do starego materaca zaszywa złotówkę za złotówką i marzy: żeby tak dozbierać się do 10 do 100 tysięcy. A poco? Nie wie. Jest to poprostu zboczony instynkt zapobiegliwości. Taki człowiek, to nie oszczędny a sknera, skąpiec głupi i szkodnik. Głupi, bo pieniądze same dla siebie są niczem, śmieciem. Wartością ich jest dobro, które się da za nie uzyskać. A szkodnikiem jest, bo państwo wybija pewną ilość pieniędzy, które służą jako środek wymiany. Jeśli taki jeden z drugim drań nachowa stosy pieniędzy po materacach, pończochach, po dziurach na strychu i w piwnicy, to niema potem czem co kupić: jemu leżą pieniądze bezużytecznie a innym brakuje. Np. jedną z przyczyn dzisiejszej nędzy i kryzysu jest takie zakopywanie pieniędzy. To tak, jakby uzbierał pełny pokój butów, a chodził boso, żeby ich nie niszczyć. A kończy się zwykle na tem, że albo złodziej ukradnie, albo woda zabierze, albo ogień strawi.

Wszystkim, wszystkim, wszystkim!

Posłuchajcie jeszcze raz mądrego Biskupa:

Chcemy bogactw, wróćmy się do dawnego źródła;
Niechaj się każdy zbytków niepotrzebnych strzeże:
Nie szpeci wstrzemięźliwość i proste odzieże.
Lepszy szeląg z dochodu, chociaż jest miedziany,
Niż pieniądz złotostemplny, ale pożyczany.
Takimi się ojcowie nie obciążywali,
Po szelągu, po groszu oni rachowali,
I mieli co rachować. My z pozoru drodzy,
Choć tysiące rachujem, przecieśmy ubodzy.

(z satyry „Oszczędność").

Dziesięć groszy więcej znaczy niż sto złotych. Bo od dziesięciu groszówek musi się zacząć. Uzbierawszy złotówkę włóż do Komunalnej kasy oszczędności. Kasa oszczędności to nie materac. Tam pieniądz nie leży, a rusza się i rozmnaża, rośnie. Wkładasz złotówkę a ta popracowawszy dla dobra kraju wraca do ciebie dwuzłotówką. A potem jest ich już dziesięć i sto. Stajesz się potentatem finansowym. Masz w kieszeni książeczkę czekową i wystarczy ci położyć pod czekiem twój godny podpis, a przymaszerowuje do ciebie grubszy pieniądz, za nim zaś łyżwy, narty, saneczki i tyle innych pięknych i tak pożądanych rzeczy. Czy nie jesteś zdania, że najmilszym prezentem, jakiegobyś sobie życzył na gwiazdkę jest książeczka Komunalnej kasy oszczędności. Końby się z ciebie uśmiał, gdybyś myślał inaczej.

Posługujcie się gołębiami.

W czasie akcji letniej, gdy było wiele pracy w K-dzie Chor. (w jednym dniu wystawiono ponad 50 zniżek) hufcowy z Wodzisławia, aby się upewnić, czy zniżka dla jego obozu na czas wysłana została przez K-dę Chorągwi, przysłał dwu harcerzy rowerzystów do Katowic po informacje. Harcerze ci przybyli w godzinach popołudniowych, gdy biuro K-dy Chor. było zamknięte. Na kartce umieszczonej na drzwiach lokalu K-dy Chor. przeczytali adres zastępcy Komendanta Chorągwi, więc udali się do niego i dowiedzieli się, że zniżkę na obóz wysłano właśnie rano i zapewne w godzinach wieczorowych zniżka ta nadejdzie do Wodzisławia.

Ponieważ powrót ich do Wodzisławia musiał potrwać conajmniej 4 godziny, przeto harcerze ci napisawszy odpowiedni meldunek do hufcowego, przywiązali tę kartkę do nóżki gołębia, przywiezionego ze sobą i gołębia tego wypuścili. W ten sposób hufcowy dowiedział się w ciągu jednej godziny o stanie sprawy.

(J. B.)

REDAKTOR MA GŁOS.

Na wstępie muszę zgóry prosić o przebaczenie tych wszystkich którzy czekać będą na załatwienie jakiejś sprawy czy odpowiedź, a odpowiedź ta będzie się spóźniać. Może się nie spóźni, ale gdyby się to przypadkiem zdarzyło, będzie to spowodowane wyjazdem aż dwóch redaktorów „Na Tropie" **do Paryża** na 6 tygodni, a korespondencja między Paryżem i krajem siłą rzeczy musi przedłużyć załatwienie każdej sprawy.

W kolorową rycinę na okładce przyozdobi się „Na Tropie" od Nowego Roku. Jak się to Wam podoba?

Administracja zawiadamia tą drogą że wszystkim, których prenumerata już się skończyła, względnie dobiega do końca, wkłada blankiety P. K. O. i prosi o rychłe uregulowanie opłaty abonamentowej.

Spis rzeczy V-go Rocznika „Na Tropie" ukaże się w jednym z najbliższych numerów.

Na harcerskim szlaku.



DZIESIĘCIOLECIE „DZIECI SŁOŃCA". Drużyna przyboczna Komendy Chorągwi Harcerzy w Krakowie, X. Krak. im. A. Malkowskiego, obchodziła w dniach 4, 5 i 6 listopada dziesięciolecie swego istnienia. W skład uroczystości weszły dwie wieczornice o bogatym programie, jedna o charakterze propagandowym dla gimnazjum IX-ego, w którem drużyna istnieje, druga dla krakowskiego harcerstwa. W niedzielę, dnia 6. listopada odbyło się poświęcenie sztandaru. Po południu odbyła się uroczysta zbiórka drużyny, na której obecni byli między innymi Komendant Chorągwi Hm. Dr. Wł. Szczygieł i Komendant Hufców hm. J. Bugajski. W czasie zbiórki, obok innych miłych i pięknych punktów jej programu odczytany został artykuł z pisma skautingu słowackiego „Bud pripraveny", poświęcony właśnie „Dzieciom Słońca" przez druha Jano Imlera, który, jako instruktor gromady zuchowej, spędził z nią i całą drużyną czas na obozie w roku bieżącym. Nawiązane przez niego nici ze skautingiem słowackim, nie zrywają się dotąd, a w chwili dziesięciolecia drużyny znalazły swe odnowienie. W nowe dziesięciolecie drużyna wchodzi w pełni swego rozkwitu, licząc 60 członków, mając wspaniałą izbę, dzięki poparciu p. dyr. gimnazjum Ryszarda Goettla, i pracując owocnie na niwie harcerskiej.

(Bóbr Włodarz).

PRZYSPOSOBIENIE HARCEREK DO OBRONY KRAJU własną metodą harcerską znalazło zrozumienie u wszystkich druhen. Ilość jednak specjalistek instruktorek, które mogłyby przerabiać odpowiednie sprawności na terenie drużyn, jest niewystarczająca. Dlatego też G. K. Ż. organizuje w okresie świąt Bożego Narodzenia od 27. grudnia do 10. stycznia 1933 roku w Warszawie instruktorskie kursy strzelecko-łuczne i łączności dla dziewcząt starszych. G. K. Ż. liczy na duże zainteresowanie. Pamięta również o osobistem wyszkoleniu uczestniczek, przewidując zdobycie odznak: strzeleckiej i łucznej oraz kwalifikacyj sędziego. (ka)

„DWUDZIESTEGO LISTOPADA obchodziła IV. M. dr. H. w Oświęcimiu piękną uroczystość: składanie przyrzeczenia. Ponieważ mój braciszek, 11-letni Zbych miał też je składać, wybrałam się tam jako gość no i potrochu jako korespondentka! Przecież jestem już zastępową i mam krzyż od października. Chociaż sama nie tak dawno — bo w lipcu — złożyłam przyrzeczenie, byłam nie mniej wzruszona, gdy słuchałam tych prostych, a tak wiele mówiących słów, wyrzucanych rozedrganym głosem z piersi młodych rycerzyków idei harcerskiej. Nietylko przejęci byli, ale i dumni. Bo też dużo się na to złożyło: druh lustrator z Krakowa pasował ich na „prawdziwych" harcerzy! A patronem drużyny jest płk. Lis - Kula, o którego bohaterskich czynach tak pięknie opowiedział druh „Wawzik" Mrzygłód, że wszyscyśmy wstrzymywali oddech, aby ani słowa nie uronić. A choć po skończeniu poważnej części tej uroczystości rozigrali się chłopcy w wesołej zabawie, to jednak zauważyłam, że każdy nowy druh dotykał ukradkiem swego krzyża, jakby chciał sprawdzić, czy to nie sen. Kocham nasz piękny, zdrowy związek harcerski! I wszystko z nim związane, wydaje mi się tak ważnem, że musiałam swoje wrażenia z tego święta chłopców czemś upamiętnić. Dlatego napisałam ten list i przesyłam go z serdecznem „Czuwaj" Redakcji. **(J. P.)**

W III MARSZU W MASKACH GAZOWYCH, zorganizowanym przez Komitet Stołeczny L. O. P. P. wzięły udział harcerki liczniej, niż w latach ubiegłych. Jeden z zespołów osiągnął czas 26,04 i zajął II miejsce, przybywając na metę w doskonałej formie. (Ka).

W LUBLINIE 27 listopada br. odbył się jednodniowy kurs kierowników i opiekunów gromad zuchowych Chorągwi Lubelskiej. Na kursie był obecny dh. hm. Mościcki — Biały Lis, który opowiedział obecnym wiele ciekawych kawałów z życia zuchów. Młodzi słuchacze kursu śmieli się od ucha do ucha, a wszyscy razem uzmysłowili sobie jakim powinien być zuch i jak z nim należy pracować. Na terenie Chorągwi Lubelskiej jest dziś 22 gromad zarejestrowanych z 465 zuchami. Kurs prowadził dh. Greniuk Piotr. Uczestników było 73. (P. Gr.).

HUFIEC JAWORZYNICKI, tak męski, jak i żeński, rozpoczął z dniem 26. listopada br. nowe „Życie Świetlicowe". I. męska im. K. Pułaskiego urządziła w Świetlicy harc. męskiej „Uroczysty Wieczorek", w którym wzięły udział Hufiec Żeński, oraz pozostałe drużyny męskie. Na program wieczorku składało się: odczyt pt. „Życie Świetlicowe", uroczyste otwarcie czytelni, pokazy komiczne (na scenie), zabawa taneczna. Aż do 19 lutego przyszłego roku odbywać się będą co niedzielę podobne wieczorki, o programach czy to poważnych, czy wesołych: zależy od wyboru kierownika drużyny, który jest mistrzem ceremonji. (St. J.)

PRZYJEMNE Z POŻYTECZNEM ma zamiar połączyć Wydział Starszego Harcerstwa G. K. Ż. i urządzić kurs narciarski z kursem instruktorskim. Przed południem narty i słońce, po południu praca intelektualna. Kurs ten jest drugim etapem wykształcenia wodzów starszego harcerstwa. (Ka).

INWENTARZ SZKOŁY INSTRUKTORSKIEJ NA BUCZU powiększa się. Ostatnio przybyły dwie świnie, krowa „Łania" i parę gołębi. Ogród natomiast wzbogacił się o 14 drzewek owocowych karłowatych i 8 wysokopiennych, 400 krzaków malin i agrestu, nieskończoną ilość cebulek, lilij, narcyzów, konwalij i irysów. 1400 krzewów zużyto na żywopłot.

13-TA ŁÓDZKA im. gen. J. Bema urządziła w dniu 4. grudnia 1932 r. uroczystą akademię ku czci swego patrona. Uroczystość zaszczycili swą obecnością: komendant Chorągwi druh St. Kępczyński, komendant Hufca, członkowie K. P. H. oraz liczne grono sympatyków harcerstwa w liczbie 700 osób. Program został wykonany siłami drużyny. **(A. N.)**

W MYSZKOWIE staraniem 57 Z. O. H. im. St. Batorego zostały w dn. 26. XI. 1932 r. dla dzieci i 27. XI. 1932 r. dla starszych odegrane „Orlęta" F. Żurowskiej. Mimo ciężkich, kryzysowych czasów, publiczności z członkami K. P. H. na czele, dość licznie wzięła udział w przedstawieniu, dając tem samem dowód sympatji swej dla ruchu harcerskiego. Harcerze z 57-mej dobrze się spisali, czyniąc przez to dobrą „reklamę" organizacji. **(J. T.)**

KURS DLA ZASTĘPOWYCH STARSZEGO HARC. ODBĘDZIE SIĘ W KRAKOWIE. Teoretyczna część kursu składa się z szeregu referatów, nadawanych częściowo przez Radjo w ciągu kwadransów harcerskich. Program części praktycznej polega na równoczesnem prowadzeniu zastępów starszo-harcerskich przez uczestniczki kursu. (ka)

Prenumerata „Na Tropie": z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 80 groszy. Cena numeru 40 groszy. Prenumerata roczna łącznie z dod. „Zastępowy" 7 zł. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. **Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski". Konto w PKO. Katowice Nr. 305.330.**

W skład Komitetu Redakcyjnego wchodzą: O. Grzbielowa M Kapiszewska, Z. Tworkowska, J. Wierzbiańska, W. Bublewski, J. Grzbiela, H. Kapiszewski, St. Kapiszewski, M. Wierzbiański, O. Żawrocki. — „Na Tropie Zuchów" redagują: dział żeński J. Zwolakowska, dział męski A. Kamiński.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o. Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.